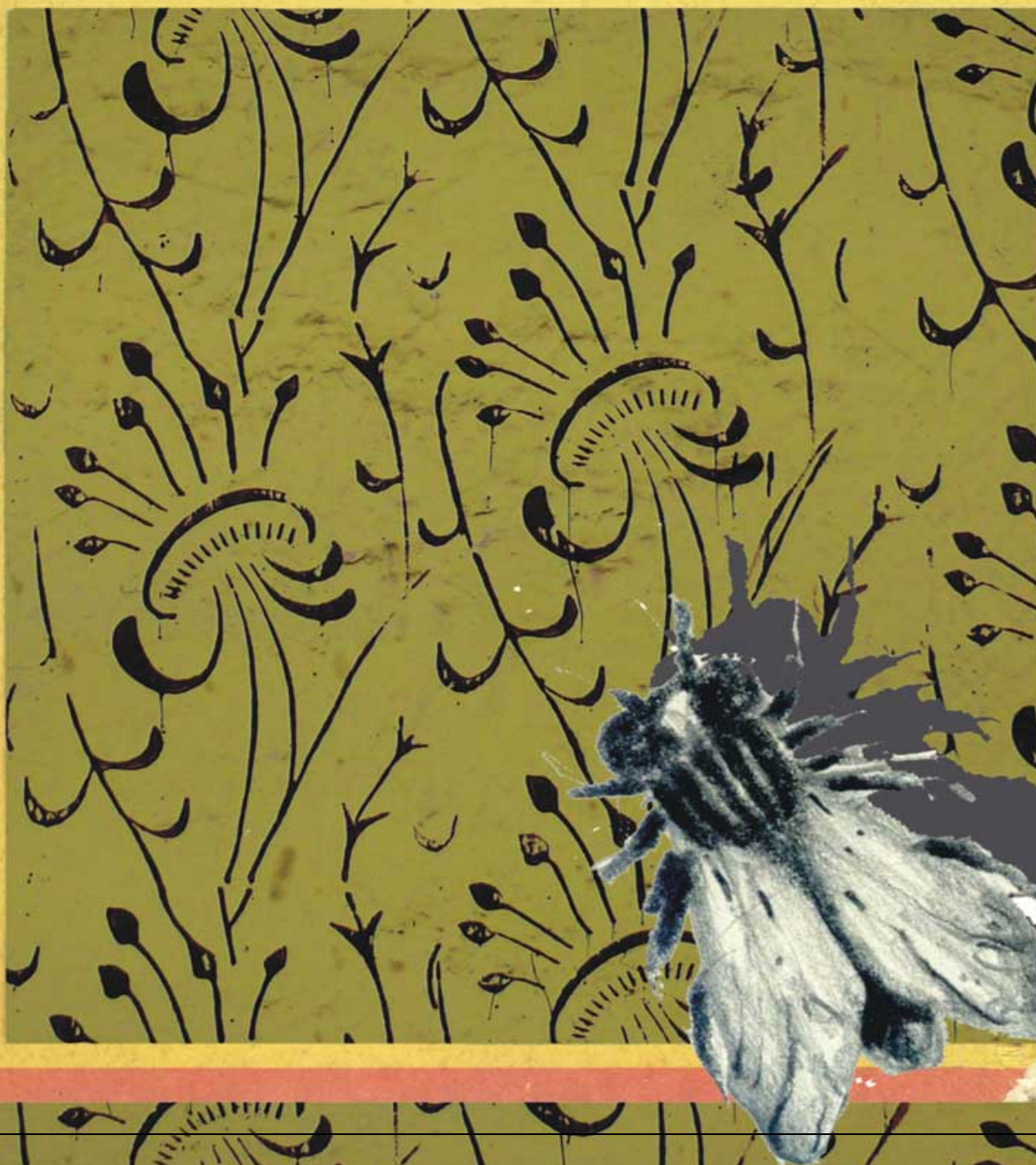


Leon Brofelt

Anioł w majonezie

Czyli opowiadania z końca wieku
oraz miłe złego początku



Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Księgarnia Internetowa E-ksiazka24.pl](#).

Leon Brofelt

Anioł w majonezie

czyli opowiadania z końca wieku oraz miłe złego początki

do wydania przygotował, posłowiem i notką o autorze opatrzył Tomasz Kostro
okładkę zaprojektowała i opracowała plastycznie Ewa Toczowska

Copyright by Tomasz Kostro & e-bookowo 2008

Ilustracje i okładka: copyright Ewa Toczowska

ISBN 978-83-61184-14-0

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie I 2008

www.e-bookowo.pl

| | |
|---------------------------------------------------------------|-----|
| OPOWIADANIA Z KOŃCA WIEKU | 4 |
| Pomysł (opowiadanie kryminalne) | 4 |
| Pomyłka (opowiadanie autentyczne) | 35 |
| W sanatorium (opowiadanie zaduszne) | 54 |
| Kumulacja w Portkach (opowiadanie rodzinne) | 67 |
| Anioł w majonezie (opowiadanie mistyczne z licznymi cytatami) | 85 |
| Pociąg (opowiadanie jakoby prawdziwe) | 95 |
| Romeo i Lukrecje (opowiadanie z drugiej ręki) | 106 |
| Tapczan (opowiadanie nieprawdopodobne) | 138 |
| | |
| MIŁE ZŁEGO POCZĄTKI | 147 |
| Jak zostałem literatem, czyli niemiłe złego początku | 147 |
| Soso w przedszkolu | 151 |
| Pierwszy i jedyny | 159 |
| Nie musicie towarzyszu uważać | 163 |
| Opaska na oku | 170 |
| Dziewczyna z warkoczami | 180 |
| Wenus z jeziora Kalejty | 187 |
| | |
| Posłowie | 195 |
| Leon Brofelt - kilka słów o autorze i "Aniele w majonezie" | 195 |

Opowiadania z końca wieku

Pomysł (opowiadanie kryminalne)

- Mam pomysł! – oznajmił gromko Gabryś wchodząc do mieszkania.

Zzuł buty i zatarł ręce. Minę miał dziarską, szelmowski uśmieszek błąkał mu się pod wąsem.

- O Boże! – jęknęła Luśka w odpowiedzi, głośno zaś powiedziała:

- Nie waż się ruszyć tej setki w kredensie! To na wyjazd dzieci!

Głos miała skrzekliwy, jak rozdzierana blacha. Była w kuchni.

Nawet do niej nie zajrzał. Zwalił się na tapczan i ciągle lekko uśmiechnięty wgapił się w płamę na suficie. Wyglądał jak nieboszczyk przygotowany fachową ręką do ostatniej podróży, taki pogodny, wyprostowany, z rączkami nabożnie splecionymi, tylko gały mu zamknąć, o kciuk zahaczyć różaniec. No i ubrać odpowiednio! Był w wystrzępionych dołem dzinsach i niegdyś białej koszulce ze spranym napisem: „Keep smiling. Boss live idiots”.

Pomysł wpadł mu do głowy pod Urzędem Pracy. Wychodził właśnie z gmachu po odebraniu nędznego zasiłku (jeszcze tylko raz czekała go taka frajda) kiedy przed urzędem spotkał dwu kolegów ze szkoły. Przysiedli na ławce, popalili, pogawędzili, powspominali. Kupę lat! Jak leci? I takie inne głupstwa. Widywali się rzadko a od matury, jakby nie patrzeć, ponad dwadzieścia lat minęło. Nie bardzo więc mieli o czym rozmawiać. Opowiadać sobie nawzajem jak to pracę tracili? Licytować się, który bardziej się narażał, aby taki chwalebny osiągnąć status? Klęli tylko kwiecicie i mało konkretnie. Nie wiadomo czyje mamuśki mieli na uwadze.

Na parking, tuż przed zajętą przez nich ławkę, zajechała luksusowa fura z szelestem nowych opon i wyuzdanie lubieżnym pomrukiem silnika. Gość z limuzyny nie

wysiadł, gapił się tylko na tę trójkę wykolejeńców, na Gabrysia szczególnie. Wtedy właśnie pomysł przeszył gabrysiowy mózg, aż zabolalo.

Wstrząsnął się, wstał, poprawił portki, pstryknął petem na trawnik.

- No to cześć! Do miłego... Wpadnij który kiedyś.

Poszedł. Po drodze pomysł w myślach pieścił. Zanim doszedł do domu przerebił go na plan do wykonania.

- Nogi ci śmierdzą. – powiedziała Luśka przechodząc koło tapczanu. Skrzywiła się przy tym, jakby miała powód. Wielkie rzeczy! Gorąco, buty na gumie to i nogi śmierdzą. Jej to i owo różami też nie pachnie, a przecież uwag na ten temat nie wygłasza. Zresztą, mniejsza z tym. Teraz nie ma głowy do głupstw. Wpadł na cholernie dobry pomysł i musi się skupić, szczegóły przemyśleć, dobór współników starannie rozważyć. Wiadomo, niejeden dobry pomysł położyło gówniane wykonanie. Rzecz solidnie przygotowana musi się udać! Nie ma prawa być inaczej!

Gabryś uchodził niegdyś za łebskiego chłopaka - w wojsku na przykład - doskonale sobie radził. Połowa pułku mu zazdrościła. Dobrze się zapowiadał, a potem tylko Luśka, dzieciaki, ciepłe kapcie wieczorami. Rozleniwił się, przytył, ogłupiał, z kolegami kontakt stracił. Luśki pilnował i ze wszystkim jej się słuchał, pantoflarz zafajdany! Czas się opamiętać.

- Będzie dziś jakieś żarcie? – spytał cicho, jakby od niechcienia, broń Boże, żeby z naciskiem.

- Najpierw mi powiedz, skąd na to żarcie brać? – syknęła zaczepnie wracając do kuchni.

Uśmiechnął się błogo, aż miejsce po lewej, górnej dwójce zaczerniło pod wąsem. Oj Luśka, Luśka, nie wiesz skąd? – pomyślał – I nie dowiesz się, ale już niedługo wydawać nie nadążysz! Moja w tym głowa!

Uniósł się na łokciu.

- Luśka, mam cholernie dobry pomysł! Poczekał jeszcze trochę, a na Sylwestra skoczmy do Paryżewa... albo na Kanary? Co?

- Idiota!

Usłyszał, choć powiedziane to było cicho.

Nie obraził się. Teraz, wobec pomysłu wszystko blakło, traciło znaczenie. Dziewczyny są od tego, żeby mieć muchy w nosie. Ta jego dziewczyna ma szczególnie powód, psia krew! Głupio dał się z roboty wyślizgać, biedują teraz bo i ona dawno bez stałej pracy. Dorabia trochę jako kuchta i otrzyjdupsko u tych aferzystów z za parku, ale to wszystko mało. Długi rosną, a jego za cholerę nikt nie chce.

Wstał i poczłapał do kuchni. Jednak coś upitrasiała. Rozstawiała właśnie talerze i sztuce. Robiła to hałaśliwie, zamasyście, wściekła jak osa za koszulą. Lepiej się nie odzywać.

Pomysłem dzielić się ani myślał, bo to nie babska rzecz. A zresztą, im mniej ludzi o tym wiedzieć będzie, tym lepiej. Już dostatecznie mocno bolał go fakt, że współników musi szukać.

Gaz pod garnkiem się palił, a ona smyrknęła do łazienki, obmyła się trochę, przyczesła, porwała torebkę.

- Za piętnaście minut zgaś pod zupą. Dzieciom zostaw!

Krupnik był gęsty, smaczny. Luśka, choć kawał cholery, gotuje doskonale. Niby nie ma co do garnka włożyć a potrafi wyczarować takie cudowności prawie z niczego. Raz jeszcze nalał sobie do pełna. Kiedyś przy sąsiadach i dzieciach pochwalił ją za kuchcienie, bardzo ją pochwalił, w rękę pocałował. Odpaliła mu wtedy:

- Trzeba ci było z kucharką się żenić!

Lekkiego życia to przy Luście nie miał. Fakt. Do żywego dopiec umiała zawsze. Kłapania dziobem nie skąpiła, ale z drugiej strony, odkąd ją poznał ani raz za inną się nie obejrzał, bo i po co? Co komu po wróblu jak kanarka złapał? Dużo może o tym powiedzieć, bo za kawalerskich czasów wróbliczek nastrzelał się dość.

Sprzątnął po sobie, wyniósł stołek na balkon, siadł, odliczył papierosy. Porcję na dziś odłożył na wierzch, jednego zapalił i zaczął myśleć.

* * *

W sanatorium (opowiadanie zaduszone)

Wprost z recepcji poszedłem na piętro do przydzielonego mi pokoju. Nie byłem zachwycony perspektywą dzielenia go z nieznanym. Rzekomo nic nie dało się zrobić. Sanatorium miało komplet kuracjuszy, a pokój dwuosobowy uchodził za szczyt komfortu. Samodzielnych z łazienką jakoby nie było wcale.

Zapukałem. Ponieważ nikt nie odpowiadał użyłem danego mi klucza i wszedłem do środka. Pokój jak pokój, nic nadzwyczajnego, standardowo wyposażony, widny, z przyjemnym widokiem na dolinę i na przeciwległe zbocza gór, dwa okna i przeszklone drzwi prowadzące na taras. Łazienka niewielka, z wanną w rdzawe zacieki i pękniętą umywalką.

Mój niechciany współlokator przyjechał wcześniej. Zajął tapczanik po lewej stronie o czym świadczyła leżąca na nim, starannie złożona w kostkę piżama i trzy fotografie postawione na szafce u wezłowia. Obejrzałem zdjęcia skoro tak jawnie je eksponował. W środku, w oprawce ze skórki, stał portrecik dziewczynki o milutkiej buźce, pięcio, może sześciolatniej, z jasnymi włoskami upiętymi po obu stronach główki w sterzące zawadiacko ogonki. Dziecko śmiało się bez troski, a w dużych jego oczach widać było filuterne błyski.

Po obu stronach portretu dziewczynki ów ktoś postawił fotografię dwu kobiet, młodych i przystojnych, ale całkiem różnych w typie urody. Ta z lewej była szczupłą blondynką, prawdopodobnie drobną, filigranową niemal, o rozmarzonym spojrzeniu jasnych oczu. Ta z prawej – ciemnowłosa o szlachetnym, nieco wyniosłym wyrazie twarzy i oczach świadczących o zdecydowanym, władczym charakterze.

Otworzyłem szafę, aby powiesić w niej płaszcz, schować walizkę i kapelusz. Widok wiszącej w szafie garderoby nieznanego wielce mnie zbulwersował. Ładna perspektywa! Na wieszaku wisiał oficerski, milicyjny mundur.

Wyjaśnię rzecz w dwu zdaniach. Były to lata, kiedy większość społeczeństwa, a moje środowisko szczególnie, odnosiło się do milicji z dużą rezerwą, żeby nie powiedzieć z jawną niechęcią. Mieliśmy powody.

Natychmiast skoczyło mi ciśnienie i pożałowałem, że dałem się namówić na sanatoryjną kurację właśnie tutaj. Zamiast oczekiwanego spokoju, oderwania od przykrej rzeczywistości, cztery tygodnie, prycza w pryczę, że się tak wyrażę, z oficerem milicji! Przysiadłem na jednym z krzeseł całkiem poważnie rozważając, czy nie wrócić do domu.

Zanim podjąłem jakąkolwiek decyzję, z zamyślenia wyrwał mnie chrobot zamka u drzwi. Wrócił mój niefortunny towarzysz. Nie wiedział wszak, że tymczasem przyjechałem i jestem wewnątrz. Pozwoliłem mu chwilę majstrować przy zamku. Rychno wpadł na to, że drzwi są po prostu otwarte, nacisnął klamkę i wszedł. Był w stroju sportowym i wyglądał na bardzo zmęczonego.

- Witam pana! – powiedział prawie z radością, choć mówienie przychodziło mu z trudem. – Spodziewałem się pańskiego przyjazdu pociągiem popołudniowym, jest o wiele wygodniejszy. Ja osobiście nie lubię jeździć nocą. Jakże podróż i samopoczucie?

- Dziękuję – mruknąłem zdawkowo. Nie przekonał mnie jeszcze do siebie.

- Skazano nas na wspólny pokój. Pozwoli pan, że się przedstawię: porucznik Stefan Flancewicz.

- Właśnie, skazano – odpowiedziałem na powitanie z nieskrywaną niechęcią. Jednak wstałem, przyjąłem podaną mi dłoń i również się przedstawiłem. Zauważył moją rezerwę, ale zdawał się tym wcale nie peszyć.

- Nie lubi pan milicji, co? Nie szkodzi! Mnie pan polubi. Ostatecznie to tylko cztery tygodnie. Postaram się być dobrym kompanem.

Był młodszy ode mnie o lat co najmniej kilkanaście. Nawet sympatyczny, myślałem, patrząc na jego pocziwą i z gruntu szczerą twarz. Choroba mocno musiała dać mu się we znaki, bo wyglądał mizernie aczkolwiek był mężczyzną postawnym i rośłym. Jakby odgadując moje myśli powiedział:

- Bardzo słaby jestem, bardzo. Wybrałem się na spacer z zamiarem dojścia do szczytu, ale musiałem zawrócić. Nie daję rady. Tydzień temu wyszedłem ze szpitala. Przepraszam, umyję się i przebiorę. Zaraz obiad.

Zniknął w łazience.

W czasie posiłków siedzieliśmy przy tym samym stoliku. Pan Stefan rzeczywiście starał się być sympatyczny, rozmowny i miły. Kurtuazyjnie ustępował mi pierwszeństwa, na przykład przy korzystaniu z łazienki. Odnosiłem nawet wrażenie, jakby próbował mi nadskakiwać.

Trzeciego dnia zaproponował wspólny spacer. Do tej pory nie wychodziłem na zewnątrz, po trosze z powodu pogody, po trosze z obawy, czy podołam. Leżakowałem na tarasie. Wycieczka pod opieką młodszego towarzysza, nawet słabego, zawsze była bezpieczniejsza od samotnej wyprawy. Ofertę przyjąłem.

Poszliśmy do miasteczka. Przy poczcie wyciągnął zza pazuchy list, który pracowicie pisał wieczorem i wrzucił do skrzynki.

- Do żony? - spytałem bez zainteresowania, ot tak, żeby cokolwiek powiedzieć.

Moje uporczywe milczenie wobec jego gadatliwości zaczynało być już rażące.

- Tak, oczywiście – odpowiedział.

- Jeśli wolno, która z pań jest pańską małżonką? – spytałem.

Eksponował obie fotografie i przyznam, zaczynało mnie to intrygować.

- Piszę do tej blondynki – odpowiedział.

Właściwie wcale nie odpowiedział. Nie pytałem do której pisze, ale o to, która jest jego żoną. Nie ponowiłem pytania. Postanowiłem zmienić wątek.

- Śliczną córeczkę państwo mają. Urocze dziecko.

- Prawda? – ucieszył się – To córka tej ciemnowłosej.

Zgłupiałem. Musiałem mieć nietęgą minę, skoro ledwie na mnie spojrzął, powiedział:

- Podobno nie żyje. Tak wynika z dokumentów.

Wydało mi się to zupełnie nie na miejscu, ale uśmiechnął się przy tym błogo. Widocznie i on spostrzegł, że coś nie jest w porządku, bo pospieszył z wyjaśnieniem:

- Dziecko jest u nas. Wie pan, że gdyby nie znajomości jeszcze długo byśmy tego nie byli w stanie załatwić? Nasze prawo adopcyjne jest bardzo skomplikowane i pokrętne.

- Przepraszam. Wobec tego jest pan wdowcem?

Pociąg (opowiadanie jakoby prawdziwe)

Opowiadał ze swadą, potoczyście. Mówić umiał, szef nie bez przyczyny angażował go często.

Wracaliśmy z K., gdzie wygłaszał kilka zleconych wykładów. Studenci go lubili, przychodzili licznie. Na ocenę treści ważyć się nie śmiem, bo na przedmiocie się nie znam, chociaż zawsze, ilekroć miałem okazję, skwapliwie korzystałem z możliwości posłuchania. Nawet zupełnego laika potrafił zaciekawić. Kto wie, gdybym spotkał go wcześniej, być może pod jego wpływem, wybrałbym fizykę?

Wtedy nie miał jeszcze tytułu profesorskiego, był na to – jak mawiał – za czu-purny, ale jego rozprawa habilitacyjna, podobno, narobiła sporego fermentu w środowisku. W pociągu jednak nie o fizyce opowiadał, a o miłości. Tak! Właśnie o miłości, ściślej – o miłosnej przygodzie.

Temat sprowokowała moja uwaga o nogach jednej z pasażerek. Miałem pod-ówczas niewiele ponad dwadzieścia lat, przeto – co tu ukrywać – wszelkie damskie cudowności robiły na mnie kolosalne wrażenie.

Koła stukały monotonnie, za oknami czerń grudniowej nocy, a w przedziale przyćmione światło. Byliśmy sami. Pasażerka z cudnymi nogami wsiadła do innego wagonu. Trudno, i tak była w towarzystwie.

- Widzę młody przyjacielu, że nie jest pan obojętny na kobiece czary – powiedział.

Usadziliśmy się już w przedziale i takim komentarzem do mojej, mało eleganckiej, przyznaję, uwagi na temat wspomnianych już nóg, rozpoczął rozmowę. Zaszczycił mnie często zwrotem „młody przyjacielu”. My, w swoim gronie, nazywaliśmy go „doktor Kwant”.

Zmieszałem się. Doktor Kwant uchodził, nie bez podstaw, za człowieka niezwykle dbającego o formy. Sam był, ma się rozumieć, nienaganny pod tym względem, przez co onieśmiał nas bardziej manierami niż naukową rangą.

- No, no! Nie ma się czemu dziwić, w pańskim wieku! – uśmiechnął się pobłażliwie.

Od słowa do słowa, od żartu do anegdoty, zanim się zorientowałem, przyznałem mu się do swoich kłopotów, miłosnych, niestety. Zupełnie niepostrzeżenie sprowokował mnie do zwierzeń.

W wagonie zrobiło się ciepło, a na zewnątrz – okropność! Rozpadał się śnieg. Mokry, padający gęsto grubymi płatami, z których natychmiast na szybie robiły się fantazyjne, ruchome bruzdy. Pociąg pędził, szumiał, kołysał się lekko, niekiedy tylko na zwrotnicach dobiegał nas głośniejszy stukot kół a delikatne kołysanie zamieniało się w krótki, gwałtowniejszy wstrząs.

- Pański problem, drogi przyjacielu, zdaje się być nierozwiązywalny – odpowiedział doktor Kwant na moje wyznanie. – Jeżeli to możliwe, a sądzę, że tak, proszę przemyśleć ewentualność rozstania się z szanowną narzeczoną. Lepiej zrobić to teraz niż po kilku latach małżeństwa, kiedy problemów pojawi się nieporównanie więcej.

W bardzo oględnych słowach zwierzyłem się ze swych utrapień. Chodziło o seks. Widocznie sprawa doskwierała mi mocno, skoro tak łatwo ujawniłem jej istotę. Należę do pokolenia, być może ostatniego, które wciąż ma poważne opory przed szczerymi rozmowami o seksie. Aż sam się zdziwiłem, że przeszło mi przez gardło – i to wobec obcego, było nie było, mężczyzny – przyznanie się do nieukontentowania aktualnym wtedy związkiem. Być może zaważyła atmosfera podróży, poważny dystans wieku między nami, no i fakt, że o doktorze Kwancie mówiono powszechnie, jako o człowieku cieszącym się niebywałym powodzeniem u dam. Ile w tym było prawdy a ile zmyśleń, naturalnie nie wiedziałem. Prawdą natomiast było, że doktor Kwant pozostawał w przykładowym, małżeńskim związku z bardzo sympatyczną i ładną panią, mieli dwoje dzieci a do jakichkolwiek pomówień o przygody, nigdy nie dał najmniejszych powodów. Z drugiej jednak strony, o ile mi wiadomo, co najmniej kilka koleżanek podkochiwało się w nim, a spośród studentek macierzystej jego uczelni, rzekomo co druga.

Doktor Kwant, kiedy los nas ze sobą stykał, był już panem mocno szpakowatym, szczupłym i odrobinę przygarbionym, ale o śmiałym, przenikliwym spojrzeniu

i wiecznym, ironicznym uśmiezką na wargach. Na męskiej urodzie nie znam się zupełnie, dość będzie, że powiem iż kobietom się podobał. Taka przynajmniej krążyła fama.

- A czy pan, doktorze, zetknął się z podobnym dylematem? – odważyłem się zapytać.

- Ależ naturalnie! To powszechne! Będąc w pańskim wieku, także nie umiałem sobie z tym poradzić i również się gryzłem. Kilka lat temu, właśnie w pociągu, wpadłem na pewien trop, który naprowadził mnie na ścieżkę wiodącą, jak mniemam, do rozwiązania problemu. Widzi pan, młody przyjacielu, ciągle jesteśmy i długo jeszcze będziemy, jako gatunek wśród ssaków, przede wszystkim zwierzętami, popsutymi przez wieki cywilizacji i tym, co nazywa się kulturą, niemniej zwierzętami. One tych problemów nie mają! Ależ proszę się nie obawiać, nie będę prowadzić wykładu z dziedziny, która jest mi obca.

- Wcale się nie obawiam, panie doktorze! Słuchanie pańskich wykładów to prawdziwa przyjemność!

Widocznie powiedziałem coś jeszcze w tym duchu, bowiem doktor Kwant poczuł się w obowiązku zaprotestować przeciw, jak się wyraził, zbędnym komplementom.

- Dobrze już, dobrze – zakończył jałowe przekomarzanie się. – Nie chce mówić o wnioskach z mojej przygody, bo jeszcze sam ich nie wysnułem, przynajmniej nie takie, które mógłbym udowodnić. Eksperymentuję ciągle i powiem panu, młody przyjacielu, że wyniki są interesujące! Szkoda tylko, że stało się to - a mówię teraz o mojej pociągowej przygodzie - w tak późnym wieku. Obawiam się czy zdążę z doświadczeniami, zanim nieubłagany czas uczyni je bezprzedmiotowymi.

Westchnął przy tym i pokiwał smutno głową. Wtedy żal doktora zdał mi się trochę komiczny, dziś i mnie nie do śmiechu. At, szkoda gadać!

- Stało się to na trasie do P. Jechałem, jak łatwo się domyślić, z wykładami, a ponieważ byłem wtedy znacznie bardziej obciążony różnymi obowiązkami niż jestem dziś, musiałem przygotowywać się w pociągu. Nie stać mnie było na pierwszą

klasę, wie pan doskonale, jak szczerze jesteśmy uposażeni, wobec tego przyszedłem na dworzec wcześniej, aby zająć możliwie wygodne miejsce. – Opowiadał doktor. – Jestem doświadczonym padróżnym, wiem gdzie wsiadać. Było to zimą i wieczorem. Wiedziałem, że większość pasażerów będzie miała ochotę na drzemkę, nie mogłem więc usiąść w głębi przedziału. Zająłem miejsce z samego brzegu, aby w razie niemożności palenia górnego światła, móc korzystać z oświetlenia na korytarzu. Usiadłem zatem i natychmiast przystąpiłem do pracy. Nie wychylałem nosa z notatek. Nie zwracałem zupełnie uwagi na to, kim zapełnił się przedział. Czułem tylko, że jest tłoczno.

Naturalnie, ledwie pociąg ruszył, ktoś zaproponował zgaszenie światła i nie licząc się zupełnie z moja skromną osobą, natychmiast to wykonał. Przesunąłem się bliżej okna i nadal robiłem swoje. Mimo mało komfortowych warunków, szło mi dobrze. Miałem wtedy do opracowania tak fascynujący temat, że doprawdy, świat zewnętrzny zdawał się dla mnie nie istnieć, Ledwie dzień wcześniej dostałem ze Stanów materiały, najnowsze doniesienia z amerykańskich laboratoriów, rewelacyjne badania uhonorowane dwa lata później Noblem, zatem nie dziw się młody przyjacielu, że nie rozglądałem się po pociągu. Mój pierwszy występ w P. zaplanowano na ósmą rano. Spieszyłem się.

Romeo i Lukrecja (opowiadanie z drugiej ręki)

1.

Na jego widok filiżanka w dłoni Marylki zakołysała się, łyżeczka spadła na posadzkę, a za łyżeczką reszta, wraz z aromatyczną, gorącą zawartością. Z tłumionym okrzykiem cofnęła nogi, chroniąc je przed obryzaniem i poparzeniem. Spąsowiała. Wszyscy spojrzeli w jej stronę. Trzy koleżanki patrzyły ze współczuciem, gromadka klientów obojętnie. Tylko z miny starszego pana można było wyczytać, że przygoda urzędniczki sprawia mu cichą satysfakcję: Oto do czego prowadzi raczenie się kawą w biurze, podczas gdy ON czeka.

Klient, który był mimowolnym i nieświadomym sprawcą zamieszania, bez ciekawości popatrzył w jej stronę, po czym wolno podszedł do Anny. Podał jej kilka białych kopert, skłonił się wyniośle i wyszedł.

Nie poznał! Chwała Bogu!

Marylka uspokoiła się, wytarła brunatną kałużę i wróciła do swoich obowiązków. Na kawę nie miała już ochoty.

To, że jej nie poznał było zrozumiałe. W ciągu kilkunastu lat zmieniała się znacznie, nabrała tuszy ku wiecznej udręce, niegdyś krótko przystrzygane włosy wyrosły poza ramiona, no i od trzech lat nosiła okulary.

On za to niewiele się zmienił. Poznała go natychmiast i nie miała najmniejszej wątpliwości, że to jest właśnie Robert. „Pan Robert”, jak go wtedy nazywała.

Był starszy od Marylki o lat dziesięć, a może nawet więcej. Dokładnie nie wiedziała, bo skąd? Wtedy miał koło trzydziestki, dziś blisko pięćdziesiąt. Wciąż prezentował się imponująco, a siwizna dodawała mu dostojeństwa. Ciągłe był zniewalająco przystojny, ubrany drogo, z wyszukaną elegancją.

Na wszystkie te obserwacje miała Marylka mało czasu. Po upuszczeniu filiżanki pociemniało jej w oczach, a kiedy podniosła się znad podłogi ze skorupami w dłoni, widziała już tylko plecy „pana Roberta”. Niemniej dotarło do jej świadomości jaśniej niż kiedykolwiek przedtem, że jego wytworność, elegancja, maniery i wreszcie uroda, gorszej były próby niż to jej się niegdyś wydawało. Chociaż, jeśli się głębiej nad tym zastanowić, zawsze w stroju, zachowaniu i oszczędnie wypowiedzianych słowach był nazbyt dokładny i przesadnie dbały. Było w nim coś sztucznego, wystudiowanego, jakby całą swą osobę ze świadomą ostentacją wystawiał na pokaz. No, ale skąd ona, głupiutkie wówczas dziewczątka, mogła dostrzegać takie niuanse? Bardzo jej wtedy imponował. A ona była młoda, rozkosznie bezradna i słodko naiwna. Boże! Cóż za określenia? Była piramidalnie głupia!

Wtedy zjawił się niby anioł z niebios. Przystojny, elegancki, pachnący, taki serdeczny i opiekuńczy. Co tu dużo mówić! Zadurzyła się od pierwszej chwili.

Teraz – załatwiwszy ostatnią klientkę – podeszła do Anny na lekko drżących nogach, aby choć okiem rzucić na koperty, które przyniósł. Nie była z Anną w aż takiej

zażyłości, żeby śmiała przy niej wziąć je do ręki, aczkolwiek bardzo ją to korciło. Gdyby mogła, zapomniałaby o oczywistym obowiązku dyskrecji i porozrywałaby koperty jedną po drugiej i być może, dowiedziałyby się czegoś wreszcie.

Tyle lat czekała na przypadkowe spotkanie (inne wszak być nie mogło) tak często marzyła, że w końcu GO zobaczy, tak wiele bezsennych nocy wypełniła wizjami konfrontacji, że dzisiejszej okazji nie może zaprzepaścić! Jak zajrzeć do wnętrza kopert? Czy znajdzie tam ślad, po którym idąc, trafi do Roberta? Jest w tym mieście, więc go znajdzie, choćby miało ją to kosztować posadę. A tak!

Zanim znalazła pracę w biurze ogłoszeń, była recepcjonistką w hotelu, ekspientką w eleganckim sklepie, urzędniczką i sekretarką, próbowała szczęścia jako akwizytor, aż wreszcie znalazła stabilne, ciche miejsce tu właśnie, w biurze ogłoszeń lokalnego dziennika. Szkoda byłoby, ale dla takiego celu gotowa ponieść ryzyko. Łakomie patrzyła na białe koperty.

Tapczan (opowiadanie nieprawdopodobne)

W takiej chwili Markowi Guzikowi powinno przypomnieć się całe życie. Tak przynajmniej to sobie wyobrażał. Któregoś zimowego wieczora, dokładnie, choć po pijanemu, rzecz całą przemyślał. Czytał kiedyś, że tak powinno być.

Gówno prawda! Niczego sobie nie przypominał. Ani miłego, ani koszmarnego. A przez czterdzieści lat zebrało się sporo do pamiętania. Do zapominania zresztą też. Teraz nic. Po prostu leciał. Rozpostarł szeroko ramiona i leciał.

Niczego szczególnie nie żałował. No, może tylko trochę, że baby dawno nie miał. Takiej prawdziwej, swojej. Tych, do których chodził, gdy mu się trafiło ekstra grosza przyrobić - nie liczył.

Zdawało mu się, że wrzeszczy „łaaaa”, ale tego „łaaaa” nikt nie słyszał. Nikt go też nie widział z wyjątkiem starej Ciupałowej z parteru.

Ciupałowa, która codziennie od kwietnia do października (o ile nie lało) wygrzewała ławkę koło piaskownicy była głuchawa, ale wzrok miała bystry. Z daleka widziała dokładnie, nawet więcej niż powinna.

- Tfu! Bezwstydniki! popatrz pani, gołe chodzą!

Powiedziała pół godziny wcześniej do byłej mecenasowej, która przysiadła obok dla złapania tchu. Akurat miała wolną chwilę. Jej Wojtuś zajął się czymś w piaskownicy, więc mogła sobie na to pozwolić.

Była mecenasowa wiedziała czym prawnuczek jest zajęty, ale wolała udawać, że nie wie. Wojtuś, skryty za murkiem, rznął knota w piach. I tak pójdzie na psie konto.

Powiodła wzrokiem za ręką Ciupałowej. Na balkonie, na trzecim piętrze w bloku obok dojrzała sylwetki dwóch osób. Czy były gołe, czy nie, tego nie widziała. Dla niej było za daleko. Wzruszyła ramionami. Była najstarszą mieszkanką bloku, ale postępową.

- Gorąco, to się rozebrali. Są u siebie w domu, to co pani do tego?

- Oj to prawda! Nie boją się gniewu bożego! - odpowiedziała głucha Ciupałowa.

Była mecenasowa porwała się z ławki i ciężkim, starczym truchtem pobiegła w stronę huštawek. Wojtuś, opróżniwszy kiszki, pognął tam ufając w dziecięcą naiwność, że babka nie zauważy. Dopadła go metr przed celem.

- Tyle ci razy mówiłam, że nie wolno!

Klepnęła go w brudną dupinę.

Podobno w odległym dzieciństwie (o ile to prawdopodobne, że była mecenasowa mogła być kiedyś dzieckiem) rozkołysana huštawka walnęła ją w głowę i miała od tej pory uraz na całe życie. Dostała świra na punkcie huštawek. Dręczyła tym świrem dzieci i administrację.

Kiedyś była po prostu mecenasową. Owdowiała, dzieci dorosły, dochowała się wnuków. Coś jej odbiło i wydała się za jakiegoś emerytowanego niebieskiego ptaszka. Miała swoje lata, a do portek ją ciągnęło! Zostawiła wnuczce mieszkanie i wyjechała. Wróciła po rozwodzie, zmarnowana, zawstydzona, bez grosza.

Soso w przedszkolu

Zatrzymała się. Było to sześćset sześćdziesiąte szóste auto. Właśnie traciłem nadzieję.

- Wsiadaj! – powiedziała kładąc się na prawym fotelu.

Drzwi odpychała czubkami palców. Samochód był szeroki. Wepchnąłem plecak do tyłu i usiadłem obok niej.

Ruszyła ostro. Był czas rozejrzeć się i pogwarzyć.

- Proszę, proszę, albo świat taki mały, albo nas cholernie dużo. – Powiedziałem, żeby zacząć.

- Naszych wszędzie pełno. Najgorsze, że nawet z daleka można poznać.

Nie zabrzmiało to jak komplement. Może nie ze wszystkim rodaków znieubiła? Jednak zatrzymała się choć poznała.

- Wracasz? – zapytała.

- Wracam.

- Jak poszło?

- Mogło być lepiej.

- Nie narzekaj. Szczęściarz z ciebie. Sterczałbyś tu do zimy gdybym się nie natoczyła. W tym kraju autostop nie w modzie.

Rzykowałem, to fakt. Ale wobec ceny pociągu... Mniejsza z tym.

Obejrzałem ją i wóz. Klasa! To o wozie. Ona mogłaby być młodsza, jak na moje upodobania. Zresztą, czy to ważne? Miałem szansę zdążyć na dzisiejszy prom. Jechała pewnie i szybko. To się liczyło! Rozwaliłem się w fotelu jak panisko.

- Dokąd pani jedzie? – spytałem.

Z tą „panią” wyszło głupio.

- Per „pani” to mów w kraju do cioci-Kloci. Jestem Lucyna.

- Leon.

- Jadę do Ystad. Od razu mówiłam, że szczęściarz z ciebie.

Znakomicie! Jak będę grzeczny i miłutki to mnie nie wyrzuci. Staralem się.

- Kto ci dał takie głupie imię? Mieli starzy pomysły, co? Leonek – pęknięty kondomek.

Jawnie drwiła.

Byłem grzeczny.

- Leona sam wymyśliłem. Pseudo. Prawdziwe też śmieszne.

Nie podjęła wątku.

Przyjrzałem się babie za kierownicą. Niezła. Po szwedzku bez makijażu, to plus. Spłowiałe włosy byle jak z tyłu spięte, bez znaczenia. Przez luźną bluzkę niewiele widać, znak zapytania. Była w szortach. Na gołych nogach tu i tam błękitniał zaczątek żylaka, minus. Kurze łapki, owszem, widoczne, też minus.

Rozmawialiśmy o duperelach, jak to w drodze. Wydała się za jakiego Petersona czy innego Johanssona, ma dwoje dzieci, mieszka tu od siedemdziesiątego i tak dalej. Jedzie do matki, do Polski.

To była wiadomość rewelacyjna. Grzeczny i miłutki tematu nie drażyłem. Miałem czas.

Za Goeteborgiem zjechała na parking.

- Zatankuję i idziemy na kawę.

- Świetnie.

Podjechała pod dystrybutor. Wysiadłem, przeciągnąłem się i poszedłem do kafeerii. Wziąłem dwie kawy i butelkę fanty. Wysupłałem cholerne korony. Niech tam! Żelazna zasada sezonowych gastarbeiterów: nie wydawać! Wtedy jeszcze każda korona pęczniała w drodze przez Bałtyk.

Przyszła Lucyna. Czego nie dojrzałem u siedzącej za kierownicą, teraz – proszę bardzo. Boże! Dwadzieścia lat temu musiała być prima laską! Wciąż było na co popatrzyć. Nogi długie, zgrabne a pod bluzą... rozkołysane gruchy bez uwięzi! Jak u podlotka! A miała przecież, tak na oko, dwa razy tyle.

Zauważyła, że ślepa mi błysnęły bo rozchyliła wargi w uśmiechu, żeby zębami się pochwalić. Owszem, ładne. Ciekawe, ile kosztowały?

- Możesz prowadzić? – spytała.
- Prowadzić, co?
- Auto, ma się rozumieć.
- Taaak, mogę. Jasne.

Dobry w tym byłem jak żółw w sprintach. Kurs kończyłem jeszcze za Gierka a potem, co uciulałem na starą skorupę to kelnerzy zabrali. Taka skaza charakteru. Ale dokument był.

- Doskonale. Rano się zmienimy. Po nocy na promie bywam niewyspana, a chcę szybko dojechać. Nie zrobisz mi chyba kawału i nie powiesz, że mieszkasz w Szczecinie?

- Nie zrobię i nie powiem.

Ponad godzinę marudziliśmy na tym parkingu. Lucyna nie chciała fanty. Amerykański wynalazek, mówiła. Wzięła jakieś szwedzkie picie z jabłek, którego dotąd nie odkryłem. Dobrze.

Perspektywa jazdy taką bryką aż do Katowic rysowała się wyraźnie. Chyba mnie nie wyrzuci? Musiałem uważać. Wciąż byłem milutki i grzeczny.

Do swoich znakomitych szoferskich umiejętności nie przyznawałem się. Nie tylko w tej sprawie musiałem miną nadrabiać. Wnosząc z marki auta i gadania, tyle co wiozłem ze sobą po tygodniach ubijania kolanami szwedzkiej gleby jej wyciekało przy byle wizycie w większym sklepie. Ten jej Gustavsson musiał być w porządku.

- Jedziemy? – spytałem widząc, że popatruje na zegarek.
- Jedziemy. Do Szwecji przez Polskę.

Wstała i poszła do samochodu. Szedłem za nią wpatrując się w jej pupę, kształtną nad wyraz. Może dlatego nie załapałem od razu, co powiedziała. Dopiero jak ruszyła, spytałem:

- Co mówiłaś? Dokąd jedziemy?
- Ech, głupstwo. Tak mi się powiedziało. Bóg wie dlaczego, ale mieścinę w której spędziłam dzieciństwo nazywano w okolicy Szwecją. Nie ważne.
- Ejże, dziewczyno! Czyżbyś była z Czeladzi?
- No.

- Długo tam mieszkałaś?

- Krótko. Rodzice się wyprowadzili jak byłam dzieckiem, ale teraz matka tam wróciła.

- To wielu wspomnień z Czeladzi nie masz.

- Wielu nie mam ale za to jakie!

- Dowiem się?

Zachichotała.

- Może ci powiem, może nie. Zobaczymy.

Dopytywałem się o czeladzkie wspomnienia z przyczyn oczywistych. Wszyscy wiedzą, że Leon Brofelt wychował się w Czeladzi.

- Coś specjalnego?

- Nawet bardzo. Najmilsze wspomnienie dzieciństwa! Dzień śmierci Stalina w naszym przedszkolu.

O rany! Wyszło, że jesteśmy rówieśnikami.

- W to nie wierzę.

- Że pamiętam tak zamierzchłe czasy? Miły jesteś.

Zakałapućkałem się. Niech będzie, że tak młodo wygląda. Zresztą, co prawda to prawda.

Nie wierzyłem, że śmierć Stalina przyjęła jako miłe wydarzenie. Wszyscy byliśmy smutni a niektórzy szczerze pobekiwali. Dla sześciolatków, którym wmawiano, że każde jabłko, cukierek, pomarańcza (trzy razy w roku) to specjalnie dla nas od dziadza Soso, ponure komunikaty z kołchoźników nie mogły być wieścią radosną. Swoją drogą ja też mam miłe wspomnienie z tym dniem związane.

- Zjemy coś! – powiedziała skręcając w bok.

Do Ystad zostało może osiemdziesiąt kilometrów. Czasu sporo, gorzej z finansami.

- Na promie kuchnia niezła – zacząłem dyplomatycznie.

Byłem przezornym posiadaczem złotówkowych bonów.

- Nie przejmuj się. Svatensson zapłaci.

Pograżyła mnie ostatecznie.

Postowie

Leon Brofelt - kilka słów o autorze i "Aniele w majonezie"

Z Leonem znamy się od dziecka. To znaczy, gdy ja byłem dzieckiem, on już był. Starszy kolega, przewodnik i wodzirej, czasami mentor, częściej podrzegacz. Zawsze otoczony lekką mgiełką tajemniczości, którą to mgiełkę - odkryłem ten fakt znacznie później - sam tworzył. Sierota. Ponoć wywodzi się ze szlachty kurlandzkiej. Jedna z gałęzi rodu spolszczyła się całkowicie przybierając nazwisko Dobropolscy. Możliwe, choć mało prawdopodobne. Pamiętam, że opiekunowie sieroty nosili banalne nazwisko... Wiśniewscy. Czasami skłaniam się do teorii, że nazwisko i imię sam sobie wymyślił, i że jest to anagram imienia jednej z postaci greckiej mitologii. Niech tam, mniejsza z tym. Faktem jest, że nazwisko Brofelt wzięło się w paszporcie nie wiedzieć skąd. Paszporcie nie polskim, żeby nie było nieporozumień.

W każdym razie wychowywaliśmy się razem w Zagłębiu Dąbrowskim i tam niekiedy się spotykamy zawsze w niezmiennej przyjaźni.

Leon lubi przepadać na całe lata nie wiadomo gdzie. Ostatnio - na przykład - spotkaliśmy się w londyńskim pubie przy Picadilli Circus. Niby przypadkowo, ale jak się okazało po dłuższej rozmowie, wiedział o moim pobycie w stolicy Zjednoczonego Królestwa od wspólnych znajomych.

Gdy osiągnął pełnoletność (w epoce Gomułki) wystarał się o paszport i ruszył w szeroki świat i... tak mu zostało. Nie wiadomo, gdzie mieszka na stałe. Pewnie nigdzie, bo zawsze zagrzanie miejsca na dłużej przychodziło mu z wielkim trudem. Niemniej chętnie wraca do kraju dzieciństwa a od kilku lat - dzięki moim namowom - również pisze. Niezbyt wiele i zupełnie nie zabiega o publikacje. Te kilka opowiadań,

które zamieściłem niegdyś w redagowanym przez siebie piśmie, dosłownie wymusiłem na nim. Podobnie, jak utwory zebrane w tym tomiku.

Czy warto było? Przeczytajcie i oceńcie. Żeby nie ulegać tylko własnym upodobaniom próbowałem uzyskać opinię innych. Oto garść zdań na temat prozy Leona Brofelta:

Aleksander Wilkoń, poeta, profesor literatury uniwersytetu w Neapolu: Jego proza zmierza ku daniu świadectwa prawdzie o przemianach współczesnej Polski, jest uczulona na konkret, fakt, ale także na pogłębioną charakterystykę psychologiczną. Chętnie korzysta ze struktur dialogowych umożliwiających wielostronne ujęcie danego motywu czy refleksji. Zwracają uwagę wartości stylistyczne polszczyzny.

Jerzy Przeździecki, prozaik i dramaturg: jako uczestnik tej samej "dyscypliny sportowej" (dyszacy w biegu) mogę tylko po koleżeńsku... Doskonałe opowiadania. Potoczystość, świetne, współczesne dialogi. Swoboda w czasie i przestrzeni. Pointa seksowna mile. Gratulacje.

Ps. Odnosze tylko wrażenie, że zapis zbyt - jakby to określić - zbyt płynnie i za mało meandrycznie zmierza do finalnych zwieńczeń. Ale... cóż ja wiem? Może na lekkości polega urok tej prozy.

Sabina Nowakowa, urzędniczka: ...ale świntuch. To chwilami pornografia, ale podoba mi się, w żadnym razie nie jest ordynarna. Nie rozumiem tylko tych niedopowiedzeń i aluzji, to było tak dawno.

Izydor Łęski, emerytowany dziennikarz: Pamiętam, w połowie lat siedemdziesiątych obiegła kraj plotka o wydarzeniu w Cz. (opowiadanie zaduszone). Węszyliśmy, gdzie tylko można i... nic. A tu proszę, podane jak na tacy. Oczywiście, opowiadania nie można traktować jak reportażu, ale wiele się zgadza.

Opowiadania tu zebrane wyraźnie dzielą się na dwie grupy: dłuższe teksty na początku tomu tematyką związane są z pierwszym okresem przemian ustrojowych, poza Pociągiem, W sanatorium i - do pewnego stopnia - Pomyłką. Tytułowy Anioł w majonezie, Pomysł, Romeo i Lukrecje, Tapczan, Kumulacja, to wyraźna satyra na stosunki w końcu wieku. To obrazki - czasem śmieszne, czasem łzawe - trudności, z

jakimi borykali się rodacy w pierwszych latach przemian. Niektórzy wciąż mają kłopoty. Zderzenie oczekiwań z rzeczywistością dawało niekiedy komiczne efekty. Trzeba tylko - jak Leon Brofelt - właściwie spojrzeć. Te teksty łączy jeszcze jedno. W każdym mamy do czynienia z czymś niewytłumaczalnym, niesamowitym zbiegiem okoliczności, bądź siłą tajemną nie wiedzieć, rzeczywistą czy urojoną. I nie wiadomo, czy autor kpi z powszechnej wiary w takie zjawiska, jak telepatia na przykład, czy wręcz przeciwnie, nadaje im rangę siły sprawczej. Tu w każdym opowiadaniu pozycja narratora jest inna, język stosowny do tematu, różny w każdym tekście, bo też narrator jest zawsze kimś innym. Czasami to "wszystowiedzący" demiurg, czasem uczestnik zdarzeń. I jeszcze jedno: wszystkie kończą się ostrą, zaskakującą pointą, nie zawsze z seksualnym podtekstem (jak był uprzejmy zauważyć pan Jerzy Przeździecki), choć - trzeba przyznać - dość często.

Zupełnie inaczej rzecz się przedstawia w drugiej części. Temat: przygody młodości w "cudownych" latach sześćdziesiątych (tylko Soso w przedszkolu dotyczy lat o dekadę późniejszych). To krótkie opowiadania, chciałoby się rzec, opowiadanka, niezmiennie erotyczne (co zresztą dotyczy całego zbioru), niekiedy bardzo śmiałe. Czy ktoś zna precedens opowiedzenia w pierwszej osobie o dokonanym niegdyś gwałcie i to w tonie kpiarskim, lekkim, w żadnym razie nie w duchu horroru ani łzawego biadolenia?

Narratorem jest ta sama osoba, ten sam, młody wówczas człowiek, nastawiony do rzeczywistości kpiarsko, przy tym nad wyraz krytycznie, ale przecież z radością życia i... użycia. Mamy tu też do czynienia z wydarzeniami historycznymi ciążyącymi nad całym pokoleniem. To sławny marzec 68 i rok poprzedzający godne ubolewania wypadki. Ale były też... cudowne wakacje i stosowne do nich przygody.

toko

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Księgarnia Internetowa E-ksiazka24.pl](#).